

MARIA KONWACKA

KAJTKOWE PRZYGODY

Lektura klasy III

Maria Kownacka (1894-1982) ponad sześćdziesiąt lat swojej pracy twórczej poświęciła dzieciom i młodzieży. Pisała o sprawach bliskich czytelnikowi - o domu, o szkole, o stosunku do zwierząt, o przyrodzie i życiu wsi polskiej. Leżały jej także na sercu sprawy teatru dziecięcego. Bogaty i różnorodny dorobek Marii Kownackiej obejmuje kilkadziesiąt książek - zbiorów wierszy, opowiadań, bajek, powieści, sztuk dla teatrów szkolnych.

Są to między innymi: „Plastusiowy pamiętnik”, „Przygody Plastusia”, „Kajtkowe przygody”, „Rogaś z Doliny Roztoki”, „Dzieci z Leszczynowej Górki”, „Szkola nad obłokami” i in. Wspólnie z Janem Edwardem Kucharskim napisała „Wiatrak profesora Biedronki” i „Skarb pod wiatrakiem”.

SPIS TREŚCI

O TŁUSTYM ŚLIMAKU I FIKNIĘCIU KOZIOLKA, O SEJMIE BOCIANIM I CO BYŁO NA NIM.	4
Z BOCIANIEGO GNIAZDA NA PODWÓRKO JAZDA!	6
WSZYSTKIEGO SIĘ DOWIECIE O SZAREJ GĘSI, WRÓBLACH I BUKIECIE	7
O GRZYBACH NA JEDNEJ NODZE I ŻABIE KOLCZASTEJ SRODZE	9
O GŁUCHYM KOSZU, FLORKU I DZIURAWYM WORKU.....	11
O MYSIEJ NORCE, O KOPANIU I WAWRZONKA PILNOWANIU.....	12
ROBOTY TYLE PRZEZ WSTRĘTNE BADYLE	14
O KIJACH-SAMOBIIJACH.....	16
O CUKIERKOWEJ KITCE I O TYM, KTO SKAKAŁ NA NITCE.....	18
KICUSIOWE SWAWOLE I O TYM, KTO SIEDZIAŁ W DOLE	20
O BIAŁYM MROZIE, CZERWONYM KAMIENIU I O KAPUSTY KISZENIU	22
STRASZNA HECA W BECZCE, CO SŁAŁA WEDLE PIECA	24
O ŚLISKIEJ PODŁODZE, O TWAROŻKU, O PSIEJ BUDZIE, PTASIM JADLE, O WSZYSTKIM PO TROSZKU.....	27
O MYSICH PSOTACH I JAK ZAMIAST MYSZY MOŻNA ZŁAPAĆ KOTA	29
O FILIPIE, FREDZIU KICIE I O TYM, KTO KOMU URATOWAŁ ŻYCIE.....	31
O SZMACIANYM PAWEŁKU, O KUKIEŁCE I MASEŁKU.....	35
O PAJDCE Z PIEPRZEM I O TYM, CO OD CHLEBA LEPSZE.....	37
O SZAFLIKU O RYBACH I O TYM, KTO NA NIE DYBAŁ.....	43
KAJTEK ORZE NA TRAKTORZE.....	45

O TŁUSTYM ŚLIMAKU I FIKNIĘCIU KOZIOŁKA, O SEJMIE BOCIANIM I CO BYŁO NA NIM.

Nazywam się Kajtuś. Mam długie, czerwone nogi, biały kubrak z czarnymi wyłogami, no i potężny, mocny, czerwony dziób.

Przed moim dziobem drży całe nasze podwórko i wszyscy nieproszeni goście, to jest kury, gęsi i psy od sąsiadów. Tylko z jednym Bukietem wolę się nie zadawać, bo to jest pies bez wychowania i nie umie się grzecznie obchodzić z takim bocianem jak ja.

Pewno was dziwi, dlaczego bocian gospodaruje na wiejskim podwórku zamiast łapać żaby na łące albo węże i jaszczurki w dalekim, ciepłym kraju!...

To jest bardzo żałosna historia!... Przyszedłem na świat w pięknym, rozłożystym gnieździe ze starej brony, na wysokiej topoli rosnącej w zagrodzie u Orczyków. Byłem największy i najsilniejszy z trojga rodzeństwa, a głodny zawsze jak wilk.

Ciągle wołałem: - Jeść!... Jeść!... Jeść!... Gdybym mógł, połknąłbym całą zagrodę razem z naszą topolą... Rodzice przynosili nam do gniazda kłaczek trawy i na ten obrusik wykładali z wola - pasikoniki, chrabąszcze, ślimaki, a nawet żaby i myszy - upolowane na łące. To była prawdziwa uczta. Ale mnie zawsze wszystkiego było mało.

- Jeść!... i jeść!... - wołałem bez ustanku.

Rosłem jak na drożdżach, byłem coraz mocniejszy. Zacząłem wrywać kąski bratu i siostrze, za co rodzice klekotali na mnie z oburzeniem. Jednego rana przyniosła matka tłustego ślimaka. Brat pochwycił go dziobem, wygiął szyję i oczy przymknął, żeby połknąć smaczny kąsek.

Rzuciłem się na niego: - Oddawaj mi to zaraz, niedołągo!... Wbiłem nogi w brzeg gniazda i szarpnąłem z całej siły. Brat słabszy był ode mnie, puścił zdobycz, a ja razem ze ślimakiem fiknąłem koziołka i stoczyłem się między gałęziami na murawę podwórka. Jak długo tam leżałem, nie wiem. Naraz usłyszałem nad sobą cienki głosik:

- Ojej! Bocianek wyleciał z gniazda! W głowie mi się kręciło, byłem ogłuszony. Schwyciły mnie czyjeś ręce i ktoś powiedział:

- Nie ma chyba nic złamanego. Jeszcze dziób ma czarny, nogi szare i krótkie - młody, może się wyleczy! Dawajcie drabinę, trzeba go włożyć z powrotem do gniazda!

Po chwili siedziałem już w gnieździe, ale osowiały i smutny. Prawe skrzydło bolało mnie mocno i długo, musiało być nadpęknięte, bo potłukłem się porządnie. Przestałem już tak szybko rosnąć. Chociaż w sierpniu moje czarne nogi i dziób zaczęły czerwienieć jak u moich

braci, to i tak z najsilniejszego byłem teraz najsłabszy w gnieździe.

Nadszedł dzień świętego Bartłomieja. Ważny dzień dla bocianów. O tym dniu od dawna ojciec nam wieczorami klekotał.

Na dalekiej zielonej łące zebrał się wielki sejm bociani. Pełno tam było klekotu, podskoków, wspólnych oblotów. Moi rówieśnicy, młode bociany, popisywały się sztuką latania. Ale mnie to nie wychodziło... Brakowało mi sił...

Wszyscy moi bracia odlecieli drugiego dnia o świcie, a ja zostałem sam. Cóż było robić!...

Z BOCIANIEGO GNIAZDA NA PODWÓRKO JAZDA!

Trwała piękna, ciepła pogoda. W powietrzu snuły się cienkie, srebrne pajęczyny.

Latałem jak dawniej na łąkę, a wieczorami wracałem do zagrody i osowiały, samotny siadywałem na naszej topoli, przy gnieździe.

Tak było przez kilka tygodni.

Aż nagle zawiąły jakieś zimne, jak nigdy dotąd, przejmujące wiatry.

Kostniałem nocami na gnieździe tak, że rano nogi i skrzydła miałem zeszywniałe, a dziób tak mi drętwiał z zimna, że nawet zaklekotać nie mogłem. A do tego wszystkiego jeszcze i żaby z łąki gdzieś się pochowały!

Czary jakie czy co?!... Ani jednej znaleźć nie mogłem. Siedzę głodny i napuszony na dachu stodoły i patrzę, jak gospodyni i jej dzieci noszą jedzenie Bukietowi do miski, kurom do korytka, królikom do kafelków...

Patrzę i myślę sobie: „Cóż to ja mam być gorszy od tej całej podwórkowej zgrai?!... To oni mają się objadać po uszy, a ja mam na to z dachu patrzeć i ślinkę tylko łykać?!... A niedoczekanie!”

Co prawda, trochę mnie strach oblatywał przed tym sfrunięciem między ludzi. Parę razy już... już... unosiłem skrzydła, już się odbijałem od kalenicy¹ nogami i zawsze coś mnie wstrzymywało na dachu:

A to Bukiet głośno zaszczekał, a to gospodarz konia wyprowadził ze stajni, a to dzieci wypadły z sieni ze śmiechem...

Wreszcie, któregoś rana, wyniosła gospodyni kurom ziemniaki z osypką... Myślę sobie: „Niech się dzieje, co chce, kiszki mi marsza grają z głodu.”

Hul, kasztan do wody! - i fr... z dachu, jak z procy, prosto do korytka!...

Kurom dla pewności od razu przyłożyłem tęgo po ogonach, żeby się za bardzo nie panoszyły, ziemniaków się najadłem aż po gardło i - jazda z powrotem na dach!... Zrobiło mi się jakoś raźniej. Chociaż te ziemniaki - to nie przysmak dla bociana... Ale co zrobić, kiedy głód przyciśnie...

¹ Kalenica - grzbiet, najwyższa krawędź dachu

WSZYSTKIEGO SIĘ DOWIECIE O SZAREJ GĘSI, WRÓBLACH I BUKIECIE

Z początku na podwórku nie było żadnego ładu.

Szara gęś rządziła się tam jak u siebie w domu, a wróble objadały wszystkich, gdzie się tylko dało:

Sypnie gospodyni kurom pośladu, już wróblisków pełno pod nogami. Co kura jedno ziarno, to one cztery!...

Podrzuci gospodarz Kasztanowi miarkę owsa, już mu wróble po kopytach podrygują, do pyska podlatują!

Zaniesie Weronka Krasuli pomyj z obierkami, już wróblaszki o mało kręcka nie dostaną!

Poczęstuje Kacperek Bukieta' kaszą z ziemniakami, to już mu wróble wyłapują z miski co najlepsze kąski.

Stałem sobie ładnie na jednej nodze na korycie przy studni, jedno oko przymknąłem, niby nigdy nic, i przyglądam się temu wszystkiemu, i złość we mnie wzbiera, że nie mogę wytrzymać...

Ta szara gęś człapie na tych swoich kłapciastych nogach i posykuje na wszystko. Wypuściła gospodyni na chwilę wieprzki, żeby w chlewku porządek zrobić. Gospodyni dużo tego roku wieprzków chowa! Pobiegły one do kurzego korytka, a szara gęś - szczypl! - wieprzka w ucho, a wieprzek w kwik! Jak ja to zobaczę, jak się nie puszcę:

Łup! gęś po ogonie! Cup! wieprzki po szczecinie! Łup-cup! kury po grzbietach! I dalej dopiero na wróble! Żaden nie dostał, jak się należało, bo pozmykały: te drapichrusty sprzed kurnika i te sprzed obórki. Chciałem przegnać te sprzed Bukietowej budy, ale Bukiet to kundel bez żadnego wychowania. Zamiast mi podziękować, to się najeżył, nasrożył i zawarczał:

- Warrra od mojej budy, przybłądo!... We mnie się wszystko zagotowało.

- Kto przybłąda, kto?!... Kto przyszedł na świat na tutejszej topoli, ja czy ty, coo?! - wrzasnąłem.

Wtedy on zaczął szczeakać, że psy na topoli nie przychodzą na świat, tylko takie pokraki jak ja.

A ja mu na to, że on sam jest przybłąda, bo kiedy był szczeniakiem, to go przynieśli ze świata w worku.

- Kto ci to powiedział, czerwony nochalu?!...

- Wszystkie wróble o tym ćwierkają na płocie!

Wtedy Bukiet aż ochrypnął od szczekania na mnie, a ja sobie stanąłem na korycie przy studni na jednej nodze, przymknąłem jedno oko i udawałem, że nic nie słyszę i nie wiem, na kogo on szczeka, i to go-jeszcze więcej złościło.

Aż Antek wyleciał z domu zobaczyć, na kogo Bukiet tak ujada, i powiedział:

- Bukiet, czyś ty oszalał, żeby szczekać tak na wiatr?...

Bukiet się zawstydził, zaczął merdać ogonem, a ja stałem dalej na korycie przy studni na jednej nodze, z niewinną miną, niby nigdy nic.

Z tym Bukietem to będzie trudna sprawa, bo tak, to sobie dam radę nawet z tą szarą gęsią!

O GRZYBACH NA JEDNEJ NODZE I ŻABIE KOLCZASTEJ SRODZE

U Orczyków coraz lepiej mi się powodziło. Wszyscy mores przede mną znali. Ziemniaków z kurzego korytka mogłem dziobać, ile dusza zapragnie, tylko żab było coraz mniej. Chciałem jedną grubą ropuchę wyciągnąć spod progu domu, bo ich się tam gnieździło aż cztery albo więcej, to dzieci wrzasku narobiły, że jestem „rozbójnik”, bo „ropuszki” są bardzo pożyteczne w ogrodzie.

Latałem na naszą łąkę, ale trudno było coś ułowić.

Wczoraj wzięły dzieci koszyki i gdzieś się wybierają, więc ja za nimi. Zawsze w polu łatwiej jaki porządny kąsek się trafi niż przy domu. A tu Bukiet na łańcuchu gwałt podnosi, że i on pójdzie.

Przykazał mu Kacperek, że ma grzecznie iść cały czas za nogą, nie gonić zajączków i nie straszyć ptaszków.

Zaszliśmy do lasu.

Żaden porządny bocian do lasu nigdy nie lata, ale ja inwalida, co mam począć? Zaczęły się dzieci kręcić po lesie i zbierać do koszyków różne niepotrzebne rzeczy, mówiły na to „grzyby”. Pełno tych grzybów wszędzie tu rosło i też, tak jak ja, lubiły stać na jednej nodze, ale żab ani ślimaków dzieci nie zbierały wcale. Dziwne ci ludzie mają zwyczaj!

Jak Kacperek znalazł brzydki, bury grzyb, to wołał: - Weronka, hop, hop! znalazłem borowika! - i fikał koziołki z radości.

A Weronka odkrzykiwała: - Ojej! co tu maślaków! - i zbierała takie sobie, żółtawe grzybki. A jak pod chojarem rósł wspaniały grzyb w kapeluszu jeszcze czerwiejszym od mojego dzioba i do tego w białe kropki, to mówili, że to muchomor, trujący grzyb, i zostawiali go spokojnie we mchu.

Ja zacząłem też myszkować po krzakach; nie szukałem naturalnie grzybów, tylko żabek, a tu słyszę, coś szeleści pod jałowcem w zeschniętych liściach. Coś się tam dużego rusza. Myślę sobie: „Jakaś wielka, piękna żaba!...”

Zaczynam się chyłkiem podkradać... Już, już... chcę dziobem łupnąć, patrzę... a to kłębek samych kolców... Trąciłem to „coś” dziobem, poruszyło się...

Myślę sobie: „Wszystkie drzewa w tym lesie kolczaste, nie tak jak u nas na łące, widać i żaby kolcami tu porastają!...”

Już mam się zabierać, żeby tę żabę z tych kolców wyłuskać, a tu Bukiet hyc! zza krzaka!... Myślałem, że się na mnie rzuci, więc hopsa-sa-sa!... odskoczyłem jak oparzony, a

on tymczasem-do tego kolczastego kłębka jak nie zacznie doskakiwać a naszczekiwać, a nos sobie kłuć o te igły!

Wszyscy się zbiegli, zrobił się gwałt. Kacperek odciąga Bukieta za ogon. Weronka za obrozę...

- Przestań, Bukiet, przestań, to jeżus!...

Odciągnęli Bukieta i mnie nie dali tknąć tego naszpilkowanego grubasa. Nie rozumiem, dlaczego tak się nim zaopiekowali. A miałem ochotę połknąć go na śniadanie.

Potem wróciliśmy do domu z pełnymi koszami. Weronka wołała z daleka:

- Mamo, ciociu, zobaczcie, cośmy grzybów przynieśli!

Gospodyni i ciocia Zosia wybiegły z domu.

Zaczęło się przebieranie, krajanie, nawlekanie na nitki tych grzybów. Sporo odrzucali, mówili, że „robaczywe”.

Potem grzyby schły porozwieszane na słońcu, a ja pilnowałem, żeby ich kury i szara gęś nie poobskubywały.

O GŁUCHYM KOSZU, FLORKU I DZIURAWYM WORKU

Dzisiaj od samego rana zrobił się w zagrodzie ruch.

Kacperek z Antkiem poprawiali przed drwalką takie dziwne kije podobne do pogrzebacza. Mówili, że to „motyki”. Kacperek przytrzymywał motykę na pieńku za trzonek, a Antek - stuk-puk! - wbijał gwoździe, żeby się im te błyszczące „głowy” nie chwiały. Gospodarz mówi, że ten nasz Antek to do wszystkiego „maj-ster-klepka”. A potem wyjechały ze strychu i z komory wszystkie kosze, koszycki i worki, i płachty.

Siadł Antek na pieńku i przeplata kosze wikliną, cośmy po nią wczoraj na łąkę chodzili. Gdzie tylko trochę przetarte, tam zaraz - szast-prast! - zgrabnie witkę wiklinową przeplecie i dziurę załata.

Największy kosz miał tylko jedno ucho, i to naderwane; zawinął się Antek i nowe ucha mu dorabia.

Przewija wiklinę, dociąga, przeplata, przycina.

Kacperek podaje Antkowi wiklinowe witki, żeby prędzej szła robota, i pyta:

- Po co ty mu nowe „uszy” dorabiasz?...

- Żeby lepiej słyszał, jak się go do roboty zawoła, bo tak, to trochę przygłuchy - śmieje się Antek.

Babcia z Weroniką siadły na ławce przed domem i aż im się te igły migają. Gdzie tylko worek się przetarł albo ma ochotę się przetrzeć, tam dostaje zaraz piękną, mocną łatę.

- Do kopania wszystko musi być przygotowane jak się patrzy, żeby nie było jak z tym Piórkiem - mówi babcia.

- Z jakim „Piórkiem”, babulko?...

- Ano z tym, co to:

Nióśł Florek ziemniaków worek.

W worku dziura jak fasa, więc ziemniaki - hopsasa!...

Przyszedł do dom Florek, patrzy - pusty worek!...

Wszyscy się zaczęli śmiać, a ja nic nie rozumiem, po co oni te motyki, te worki i te kosze szykują i ciągle mówią o jakimś „kopaniu”.

Chłopcy na podwórku kopali piłkę, na łące kopali glisty, jak szli na ryby.

Może my też dużo glist tymi motykami nakopimy i pójdziemy ryby łowić! Rybacy na naszej rzece też do takich koszy ryby łapali. Te kosze to pewno na ryby!

Toby dopiero Kajtuś miał bal!

O MYSIEJ NORCE, O KOPANIU I WAWRZONKA PILNOWANIU

Wcaleśmy nie poszli na podwórko kopać piłkę ani na łąkę kopać glisty i łowić ryby, tylko w pole kopać ziemniaki.

Z początku byłem zły, ale po drodze, na polach po życie, złowiłem i połknąłem na śniadanie parę myszek. Te myszy teraz niewiele są gorsze od żab, więc się pocieszyłem. Poszliśmy w pole wszyscy, kto tylko żyje w domu, nawet Wawrzonek. Tylko Bukiet pilnował zagrody.

Był ciepły dzień, słońce grzało jak w lipcu.

Ułożyła gospodyni Wawrzonka ładnie na miedzy, podłożyła mu grubą płachtę i starą chustkę i mówi do Kacperka:

- Kacperek, popilnujesz Wawrzusia, żeby mu się co nie stało! A Kacperek w bek:

- Ja nie chcę Wawrzka pilnować, ja chcę ziemniaki kopać!...

- Nie dasz rady kopaniu, jeszcześ za mały - mówi gospodyni.

- To będę podbierał takie pozostawione ziemniaki!

- Ha, to chyba go Kajtuś popilnuje - powiedziała gospodyni i ruszyła żwawo kopać swoją redlinę. A ja o mało z pychy nie pęknę, że mnie gospodyni kazała Wawrzonka pilnować; widać ja nie gorszy od Bukieta.

Stanąłem sobie na jednej nodze tuż przy Wawrzusiowej płachcie i patrzę na wszystkie strony.

- Niech no się kto śmie do dziecka zbliżyć!...

Antek z Weroniką kopią na wyścigi, Kacperek zbiera do koszyka pozostawione ziemniaki. Uwijają się wszyscy, ile tylko sił. Gospodarz woła:

- Nie urządzać mi tylko wyścigów, a wybierać co do jednego ziemniaka!

Robota aż kipi.

Wawrzonek bawił się ładnie własną pięścią i ssał skóreczkę chleba, wreszcie usnął, a ja wciąż stoję na straży na jednej nodze.

Nagle widzę, że tuż przy Wawrzonkowej główce pod miedzą jest malutka, czarna norka. Nawet dziobem nie poruszyłem, ale tej norki nie spuszczam z oka. Jeszcze z niej co na dziecko wyskoczy!...

Cierpliwości to już nikt mnie nie potrzebuje uczyć!

Nagle coś w norce mignęło, wysunął się z niej malutki pyszczek, uszki, cała myszka razem z ogonkiem, a ja ani drgnę...

Pokręciła ta mysz nosem i myk! sunie do skórki chleba, co ją Wawrzonek w garstce trzyma...

Jak ja to zobaczę, jak nie skoczę:

- Czekaj, ty rozbójniczko, będziesz dziecku chleb rabowała!

Łup-siup! prosto w tę mysz!

I nagle Wawrzonek w krzyk, myszy ani śladu, a ja stoję nad Wawrzonkiem ze skórką chleba w dziobie...

Przybiegła gospodyni, ciocia Zosia, Weronika.

- Co się dziecku stało? Czemu tak przeraźliwie krzyknęło?...

- Coś mu się widać przyśniło - mówi Weronika.

- Ładnie mu się przyśniło, siniaka ma na brzuszku i rączkę zadraśniętą!...

Połknąłem prędko tę skórkę chleba, bo jakby ją w moim dziobie zobaczyli, toby nikt nie uwierzył, że to się stało niechcący.

- To ty ładnie, Kajtek, dziecka pilnujesz! - powiedziała gospodyni.

A ja stałem pokorniotko i przyrzekałem sobie nie tknąć Wawrzonka, żeby nawet wszystkie żaby i wszystkie myszy z całego pola po nim spacerowały!...

ROBOTY TYLE PRZEZ WSTRĘTNE BADYLE

Co ci moi gospodarze wynajdują sobie za dziwne zajęcia! Jakby nie mieli nic lepszego do roboty.

Wczoraj gospodarz z Antkiem wykopali na wygonie głęboki na chłopa i szeroki na pół izby dół, powbijali nad nim jakieś kołki, a na tych kołkach złożyli taki most z patyków, że zmieściłoby się na nim z pięć gniazd bocianich.

Dzisiaj raniutko założył gospodarz Kasztana do wozu i jazda wszyscy na łąkę, a ja ile sił za nimi.

Ciekawy jestem okropnie, co też oni będą tam robić!... Chyba się nareszcie namyślili trochę żab i ryb nałapać! Pewno je wpuszczą do tego dołu, żeby było co jeść przez zimę. Wielka już pora!...

A tu Antek: - Prrr! - zatrzymuje Kasztana przed takimi wstrętnymi badylami, co je nie wiadomo po co dawno, jeszcze przed odlotem moich braci, na łące gospodyni rozpostarła.

Z początku to było zielonkawe, potem szerniało i leżało jak takie długie dróżki nad rzeką, i przeszkadzało żaby łowić.

Upatrzyłem raz taką piękną, zieloną żabę, siedziała pod krzaczkiem dzikiej mięty, ja do niej, a ona:

- Hopsa-sasa. Hop! Hop! Hop - od razu na te badylowe chodniczki. Ja za nią, a tu nogi mi się w te badyle zaplątują, o mało nie bęcnałem jak długi, a moja żaba - szust do rzeczki - i tyle ją widziałem!...

Okropnie tych badyli nie cierpiałem, bo mi polowanie psuły.

A tu się nasz wóz przy nich zatrzymuje i wszyscy zaczynają zbierać to szkaradzieństwo, wiążą w pęki i ładują na furę, a jeszcze gospodyni mówi:

- Piękny nam latoś len urosiał, będzie go dobrze międlić!

- Straszne rosy uderzały rankami na łąkę - mówi Weronika.

Straciłem cały humor, ale cóż było robić?...

Jak wszystko do kruszyny załadowali na wóz, Antek popędził Kasztana i ruszyliśmy prosto na wygon do tego wykopanego dołu.

Myślę sobie: „Aha, teraz to świństwo zakopią i będzie po krzyku!”

Ale gdzie tam!

Znowu z wozu zdjęli, na tym chruścianym pomoście poukładali, a Antek rozpałił w tym dole pod spodem ognia.

Myślę sobie: „Aha, teraz się to wszystko spali i będzie spokój!”

Ani nawet, wcale się nie spaliło!

Gospodarz powiedział, że jak się ten „len” suszy w domu, w piecu po chlebie, to się często spali razem z domem, więc dlatego chodzi taki gruby pan milicjant z błyszczącymi guzikami i nie pozwala w domu suszyć.

Antek i Kacperek podkładali na ogień, a gospodyni z Weroniką przewracały ciągle badyle.

- Cienko rozkładaj, Werosia, len na lasach, żeby nam ładnie podsechł na wszystkie strony, nim międłarki na tłokę przyjdą.

- O, jak prędko schnie, aż para z niego leci - cieszy się Weronika.

O KIJACH-SAMOBJACH

Ledwo ten len na tych lasach podsechł, ja patrzę, a tu z kuźni leci kowalka, a ode wsi nasze sąsiadki zza płotu: pani Chmielowa i Miturzyna, a od kolonii ciocia Zosia. A wszystkie niosą jakieś kije, patyki, drągi...

Myślę sobie: „No, teraz to już chyba będzie bijatyka na dobre - i zerkam tylko bokiem, gdzie by tu czmychnąć, jak co do czego przyjdzie...”

A tu jeszcze na dobitkę leci za panią Chmielową Cukierek, taki wstrętny kundel z kitka zakręconą jak u naszego wieprzka, nie większe toto od naszej szarej gęsi, a jeszcze z dziesięć razy zajadlejsze od Bukieta. Szczekliwe, wstrętne psisko. Już go wy dziobałem ze trzy razy z naszego podwórza, „ale co innego własne podwórko, a co innego obce pole. Więc się przysunąłem do Werosi i czekam, co z tego będzie.

Przyleciały te gospodynie z kijami i nic, wcale się z nikim nie biją, tylko nas pięknie pozdrowiły i pozatykały w ziemię na tych kijach takie śmieszne, wążiuchne korytka. W każdym takim korytku przez środek chodziła taka długa, drewniana rączka. Dalejże te sąsiadki chwytać nasz wysuszony len i - buch! buch! buch!... walić go z całej siły tą drewnianą rączką w tym korytku.

Myślę sobie: „No, przynajmniej teraz dostaną te badyle za swoje od tych kijów-samobjów!”

Weronika woła:

- Zobacz, Kacper, jak się ładnie paździorke spod międlicy sypią!...

Ja patrzę: czary czy co? Z tych czarnych badylków, jak się je wyłomotało, zrobiły się takie długie, jasne włosy jak naszej Weroniki.

Układają gospodynie ten wymiędlony len garstkami na koziołkach z drążków albo na ziemi w małe gromadki.

Cukierek położył się pod międlicą swojej pani. Lecą na niego paździorke, lecą, w kudelki mu się wkręcają, a on nic, śpi. Kowalka przechodząc potrąciła go nogą. Zerwał się jak czupiradło porośnięte w paździerze i rozgląda się za lepszym legowiskiem. Zobaczył na ziemi za panią Chmielową gromadkę wymiędlnego lnu i zaraz chyłkiem, boczkiem - myk!... do tej kopki. Nikt tego nie zauważył, tylko ja jeden, bo wszyscy międlili zawzięcie.

Wpakował się on bez ceremonii w świeżo wymiędlony len, a taki był naszpikowany paździorkami, że nic się od tego posłania nie różnił. Pokręcił się, pokręcił w kółko, kitkę podwinął, jeszcze raz wstał, jeszcze się ze trzy razy obrócił, jakby dostał kręcka, wreszcie

położył się na prawym boczku i chrapnął sobie jak na pierzynie.

A pani Chmielowa nic nie widzi, co się święci, tylko składa na tego Cukierka jedną garstkę wymiędlonego lnu po drugiej...

Robota idzie, że aż furczy, wysuszonego lnu coraz mniej, myślę sobie: „Już niedługo będzie koniec.”

O CUKIERKOWEJ KITCE I O TYM, KTO SKAKAŁ NA NITCE

Gospodyni Chmielowa wymiędlila resztę lnu i - łaps! chwyta całą kopkę, żeby ją zanieść znowu na lasy² do podsuszenia, zanim go zacznie pocierać.

- Ajaj! ajaj! ajaj! - skomli przeraźliwie Cukierek i zmyka z wygodnego posłania jak niepyszny...

- Widzicie go, jakie to sobie legowisko znalazł, o mało mu ogona nie urwałam! - woła oburzona Chmielowa. Wszyscy się śmieją, tylko Cukierek, niewyspany i zły, przysiadł sobie z boku.

Podsunałem się do niego i mówię grzecznie:

- Widzisz, dobrze ci tak, kundlu jeden! A ten na mnie zęby szczyrzy!

- Wstydu się najadłeś za wszystkie czasy! - powiadam bez złości, a ten na mnie hyc! z zębami!...

Musiałem odskoczyć, a on za mną. Musiałem podfrunąć, boby mi pióro z ogona wyrwał, a on za mną...

Lecę do Werosi po ratunek, a on za mną, za mną...

Chciałem przysiąść przy Weronice, ale mnie odegnał, podfrunąłem znowu i niechcący usiadłem w samym środku kopki tych lnianych włosów, a ten kundel jeszcze za mną.

Chcę się poderwać, ale nogi mi się zaplątują, ani rusz!...

Podskakuję, podryguję, psisko ujada, wszyscy się zbiegli, wymachują kijami.

- Łapcie bociana, łapcie!

- Cały len skotłują!...

- Trzymajcie Cukierka!

Wreszcie Antek pochwycił mnie i nogi mi wyplątał, choć wierzgałem nimi ile tylko siły, a Chmielowa przytrzymała tę swoją pociechę Cukierka i trochę mu wyspała, żeby wiedział, jak się na tłoce sprawować.

A potem u nas w zagrodzie był obiad dla wszystkich, co przyszli na tłokę pomagać po sąsiedzku przy lnie.

Gospodarze, Weronika i Antek roznosili miski i zapraszali pięknie do jadła. My wszyscy na podwórku też dostaliśmy lepsze kąski przez tę tłokę. A jutro my pójdziemy innym pomagać.

Wróbliska, wiadomo, musiały się zaraz na tę ucztę wkręcić, choć ich nikt nie prosił.

² Lasy - przyrządy do suszenia lnu.

Porywały nam sprzed nosa, co tylko było najlepszego, a potem: frrr! na płot i drą się na całą wieś:

Ćwir f ćwir! ćwir f przygoda taka: nie wróbel tylko bocian na nitce skakał!...

Skąd te plociuchy, drapichrusty wszystko muszą wiedzieć?!...

Okropnie się zezłościłem, ale musiałem nadrabiać miną i jeszcze tego Cukierka pięknie ugościć; trudno, jak tłoka³, to tłoka; ale niech no on się spróbuje jutro na moim podwórku pokazać!...

³ Tłoka - gromadna, jednorazowa pomoc sąsiedzka przy dorocznych robotach wiejskich za poczęstunek i zabawę z muzyką

KICUSIOWE SWAWOLE I O TYM, KTO SIEDZIAŁ W DOLE

Ciocia Zosia z Weroniką wykopały buraki w ogrodzie i poszły raniutko z motykami w stronę łąki. Pewno marchew będą kopać, co tam rosła na poletku. Nawet z nimi nie poszedłem, bo po co się na próżno włóczyć, żaby się gdzieś pochowały.

A tu tymczasem patrzę, gospodarz z Antkiem znowu się biorą do kopania dołu, zaraz za naszą stodołą. Dół nie był taki głęboki jak ten na wygonie. Wyłożyli go prostą słomą, naznosili nad brzeg łęciny ziemniaczanej, pojechali w Kasztana w stronę łąki i przywieźli coś w workach, ale już nie zdążyli tego do dołu wsypać, bo gospodyni zwoływała wszystkich na obiad.

Ciocia Zosia z Weroniką ledwo wróciły z motykami, zdążyły jeszcze przynieść z ogrodu i postawić nad dołem duży kosz buraków, umyły ręce i poszły na obiad.

A tu tymczasem te kicusie, Kacperkowe króliki: myk! myk! od razu do tej łęciny, a szara gęś też; jakżeby jej miało gdzie zabraknąć?

Stoję sobie ładnie na jednej nodze na korycie przy studni i patrzę, co z tego będzie. Póki objadały łęcinę, to nic nie mówiłem. Aż tu największy łaciaty kłapouch zaczyna obwąchiwać ten wypchany worek, co z łąki przyjechał, wspina się na niego, nosem rusza i uszyskami strzyże.

Patrzę, oka z niego nie spuszczam, a ten nicpoń tymi swoimi zębiskami worek zaczyna obrabiać.

- To po to babulka z Weronką pół dnia worki latała, żebyś ty, urwipolciu, co sam masz kubrak połatany, miał co zębiskami wygryzać?!... Zaczekaj, ja ci tu sprawię!...

A on nic: - chrup... chrup... dobiera się coraz lepiej do tego, co tam w worku siedzi, a tu jeszcze i kłapouszka kić, kić, zaczyna się do worka dobierać!...

Jak nie skoczę z koryta, jak się nie rozpędzę: - łup! kłapouszkę po białej kitce! łup-cup! kła-poucha po łaciastym kubraku. Chciałem jeszcze szarą gęś stuknąć po ogonie, ale mi odskoczyła w prawo, króle w lewo, a ja rozpędzony: łapa j - trzymaj!... buch! prosto do dołu!...

Chcę podfrunąć, nie ma się gdzie rozpędzić. Chcę wyskoczyć - za wysoko...

A tu kłapouchy, szara gęś i całe podwórko wydziwia, że Kajtek w dole siedzi, a wróbliska ćwierkają z uciechy:

Ten nasz bocian Kajtek podarł parę majtek!

A króliki podrygują nad dołem:

Bo ten Kajtuś zabijaka, więc siedzi zamiast buraka w tym dole! w tym dole!...

- Czekajcie, drapichrusty i podrygusie, już was rozumu nauczę, jak tylko z dołu wyjdę!

A tu, jak na złość, jedzą ten obiad i jedzą tak długo jak nigdy. Słyszę, jak Weronka wynosi pomyje prosiętom, jak Bukiet chłepcze swój obiad z miski przed budą, wreszcie jak Kacperek wyszedł przed próg i woła:

- Kajtuś, Kajtuś, chodź jeść!

Aż mnie poderwało, ale cóż, nie mogę się ruszyć!...

- Ooo! A gdzież to się Kajtek podział, mamó, nie widzieliście Kajtusia?...

Słyszę, jak mnie szukają na strychu, w drwalce, za piwniczką z ziemniakami.

Słyszę, jak kubeł - bum!... bum!... rozbija się głucho o cembrowinę... Szukają mnie w studni! Jestem zawstydzony, a jednak mi przyjemnie, że się tak o mnie martwią.

Wreszcie słyszę głos gospodarza: - No, czas już brać się do roboty, dosyć tego bałamuctwa, może bocian sam z jakiej dziury wy-lezie. Trzeba zadołować marchew i buraki, dobrze łąciną okryć i ziemią przysypać, żeby nam zimą nie zmarzły.

Słyszę, jak Antek podchodzi do dołu i majstruje coś przy tym wypchanym worku, widzę, jak się razem z workiem nachyla nad dołem i... rrrru! - sypie się na mnie cały grad różowych marchewczek!... Ledwo zdążyłem uskoczyć w kąt dołu.

- Kajtek, to ty tutaj?! - woła Antek.

Zbiegli się wszyscy, kto tylko żywy, Kacperek wyciągnął mnie z dołu w okamgnieniu. A co było śmiechu!

Sama babulka wyniosła mi na obiad całą miskę klusek. Widać zrozumiała, że broniełem jej worka przed króliczymi zębami.

Stałem sobie na środku podwórka i łykałem kluski pomalutku, przymykając oczy, na złość wróbliskom.

O BIAŁYM MROZIE, CZERWONYM KAMIENIU I O KAPUSTY KISZENIU

Robi się coraz zimniej. Muszę sypiać w kurniku razem z tą całą zgrają.

Kacperek powiedział, kiedy mnie pierwszy raz do kurnika zamykał:

- Zmarzłbyś na dworze, Kajtuś, i uświerknął!...

Szara gęś ma ochotę mnie podszczypywać, kury się kokoszą na grzędzie, ale wszyscy się boją mojego dzioba.

Dziś rano wychodzę na podwórko, patrzę, a tu wszystkie dachy: obórki, stodoły, domu, nawet Bukietowej budy są bielusieńkie.

Myślę sobie: „Ojej! Kiedyż ten gospodarz zdążył to wszystko pobielić?”

A tu Weronika wybiega przed dom i woła: - Patrzajcie, mamó, biały mróz!

Potem słońce przygrzało i wszystko zrobiło się szare jak dawniej, ale powietrze było ostre i nogi mi marzły.

Stanąłem na korycie, skurczyłem się z zimna i podkulałem to jedną, to drugą nogę, żeby się ogrzała. Myślę sobie ze smutkiem, jacy szczęśliwi są moi bracia w ciepłych krajach, że im nogi nie marzną...

A tu nagle ta wróbla hołota z płota zaczyna wrzeszczeć:

Ćwir... ćwir... ćwir... idzie zima, a nasz Kajtek butów nie ma, nie ma Kajtek ciepłych majtek!...

Ćwir... ćwir... ćwir!...

Okropnie się zgniewałem i myślę sobie: „Poczekajcie, wstrętne drapichrusty, nie będę z wami tutaj na podwórku sterczał, wszyscy siedzą w domu i ja się tam dostanę!”

Ale to wcale nie było łatwo dostać się dziś do domu, bo wszyscy za sobą, jak na złość, dobrze drzwi zamykali. A tymczasem wiatr coraz zimniejszy wieje od północy...

Nagle wybiegł z domu Kacperek, zabrał spod stodoły cztery spore kamienie i wraca do domu, a ja za nim co sił w nogach. Nie mógł prędko drzwi zamknąć, więc ja mu myk! pod nogami prosto do sieni, a z sieni do izby. Przyciłem się cichutko w kącie między ławą a piecem i nikt mnie nie zauważył.

O, jak dobrze, o, jak przyjemnie!... Już chyba w ciepłych krajach nie może być lepiej. Czuję, jak moje nogi przestają drętwieć z zimna. Zaczynam się rozglądać po izbie.

Gospodyni bierze od Kacperka te kamienie i kładzie pod blachę do ognia. Na ławie pod piecem wygrzewa się Mruczek, a przy nim siedzi nasza babulka i wyczynia jakieś dziwne rzeczy.

Zatknęła na kiju taką wielką strzechę tego lnu, co tośmy go wtedy międlili, i ciągnie z niej palcami długą, cienusieńką nitkę, a nogą kręci jakieś kółko.

To kółko furczy: furr... furr... furrr... a nitka nawija się na jakieś drewnienko, które się także kręci.

Co ta babulka na starość wymyśliła sobie za śmieszny zabawkę! Aż Wawrzonek ze swego łóżeczka śmieje się do tego kółka i rączkami macha.

- Niech babulka zostawi tę kądziel - mówi gospodyni - trzeba się brać do kapusty.

A tu - łomot - otwierają się drzwi jak szerokie i wtacza się do izby gruba, zamaszysta beczka, a pomagają jej przejść przez próg sam gospodarz z Antkiem. Nalał gospodarz do beczki wrzącej wody, a gospodyni wyjęła z ognia kamienie blaszaną łopatką.

Ja patrzę, co za dziwo?... Te kamienie wcale nie są do siebie podobne, są czerwone i ogniste jak słońce, kiedy się kładzie spać za naszą łąką.

A gospodyni odwróciła się na pięcie i - buch - te kamienie do beczki z wodą!

Gwałtu, rety!... Co się dzieje?... Syk, trzask, coś się kłębi, bucha z beczki na całą izbę! „Zaraz cały dom rozniesie” - myślę sobie.

Kot zadarł ogon i - hop! sadzi za piec, a ja - hyc! do drzwi i chcę zmykać na podwórko, ale drzwi na szczęście były zamknięte, bo wcale nie było się czego bać. Gospodyni przykryła beczkę płachtą i wszystko się uspokoiło. Babulka wyszorowała i wyparzyła ukropem denko od beczki, dwa duże, ciężkie kamienie, stęporek⁴ dębowy i mówi:

Kto wszystko wyszoruje i dobrze wyparzy, to mu się na zimę kapusta udarzy.

Komu się wyparzyć nie śni, to będzie miał beczkę pleśni.

- Oj, to to, święta prawda - śmieje się gospodyni:

Kto czystości zaniecha, tylko świnkom pociecha.

⁴ Stęporek - ubijak.

STRASZNA HECA W BECZCE, CO SŁAŁA WEDLE PIECA

Antek z ojcem wyleli wodę, wyrzucili popękane kamienie z beczki i żeby prędzej wyschła, przysunęli ją blisko pieca, trochę nachylili, a pode dno podsunęli polano.

- No, teraz skoczcie, chłopcy, do kowalów pożyczyć szatkownicy, a ja idę po kapustę - mówi gospodarz.

Umiotła Weronika izbę, babulka zgrzytu-fitu... ostrzy noże na osełce, a gospodarz znosi workiem głowy kapuściane i układa je w wielki stos na środku izby.

Dobrze ja znam tę kapuściochę! Rosła na zagonku wśród naszej łąki, a żabska uciekały w nią jak do lasu.

- Tęga kapusta nam się latoś zdarzyła - cieszy się babulka. - A to przez to, że na dołku, bo innym to wypaliło do czysta, nawet się główki nie zwinęły.

Siadła Weronika z babulka, płachtami kolana okryły i dalejże głąby i wierzchnie liście, co się rozkładają na boki, odziabywać nożami. To właśnie pod te liście żaby się najbardziej pchały, kiedy je goniłem. Babulka z Weroniką - ciach... ciach... ciach... nożami i zostają tylko łysiutki, twarde kapuściane głowy.

A tu już tupot w sieni. Niosą chłopcy jakąś dziwną deskę, przez środek tej deski na ukos połyskują noże jak te kosy, którymi trawę na łące kosili.

To widać ta szatkownica... Ostrożnie przechodzą przez próg, a tu im pod nogami - kić... kić... kić... króle do izby się pchają na gwałt i dalejże do tych kapuścianych liści, a uszami strzygą, a nosami kręcą.

Myszę: „Jeszcze tego tałatajstwa tutaj brakowało!”

Nie wytrzymałem, wyskoczyłem z kąta i - łomot!... króle po ogonach!

- Patrzcie no, Kajtek i króliki! Trzeba to wszystko przegnać na dwór - mówi gospodyni.

Króle pokicały czym prędzej pod ławę, a mnie się zrobiło bardzo markotno, ale Kacperek mówi:

- Mamo, Kajtek tak zmarzł, niech się trochę ogrzeje!

Chwytają mnie Kacperkowe ręce i sadzają na piecu.

Oho! Tu jeszcze cieplej i przyjemniej, siedzę sobie jak na własnym bocianim gnieździe i wszystko widzę dokoła. A tymczasem chłopcy ustawili szatkownicę na dwóch stołkach, w samym środku izby.

- Pan kowal powiedział, że noże dla nas wyostrzył jak brzytwy - mówi Antek.

- No, teraz do roboty! - woła gospodarz. Zakasał rękawy i... szach... szach... szach... trze po ostrych nożach kapustę za kapustą, tylko się z tych główek wióreczki sypią do balijki, co pod spodem stoi.

Weronika z Kacperkiem zebrała do płachty kapuściane liście i wynieśli je dla wieprzków.

Robota idzie jak z płatka. Wraca Weronika i Kacper z pustą płachtą. Za nimi pcha się Bukiet.

Myślę sobie: „No, teraz będzie chyba jaka awantura... Dobrze, że jestem na piecu!”

Ale nic, stoję sobie na krawędzi pieca na jednej nodze, jedno oko przymknąłem i czekam, co dalej będzie.

A Bukiet tymczasem boczkiem... boczkiem... drobnym kroczeniem podsuwa się do ławy pod piecem.

Mruczek poderwał się, wyprężył nogi i ogon, grzbiet wygiął jak pałąk ód koszyka i - prych... prych... prych...

Bukiet nie wytrzymał, najeżył się, zebrał w sobie i - ryms na kota!... Mignęło coś, śmignęło... z ławki na kądziel, a z kądzieli prosto mnie na głowę...

Aż mnie zamroczyło. Zachwiałem się, odskoczyłem:

- Czekaj ty, koci pazurze, ja cię tu nauczę! - Rozmachnąłem się dziobem i... cup! kota po uchu...

- Ratunkuuuu! Co się dzieje!... - Krzyk, wrzask, ujadanie, a piec zapada się gdzieś pod nogami.

Stuknąłem mocno o coś twardego głową, w oczach czarno, w głowie się kręci...

Gdzie ja jestem?!... Wąsko, ciasno... dokoła deski, kocur koło mnie skacze jak oparzony, w otworze u góry nad głową ujada obmierzła psia paszcza, a o deski łomoczą coraz zajadlej psie pazury...

Nagle - łomot!... cały świat znowu przewraca się do góry nogami i zaczynamy się turlać, to kot na wierzchu, to znowu ja, a psie pazury bębnią po deskach i szczekanie aż ochryple z zajadłości!...

Weronika wyciąga mnie i kota z beczki. Antek wyprowadza Bukieta za obrozę. Kacperek wygania rozbiegane króliki, a gospodyni podgarnia porzrzuconą kapustę.

- Trzeba na nowo przez te psie figle beczkę parzyć! - mówi zagniewany gospodarz. - A tyle razy ci mówiłem, Kacper, niech pies biega po drucie przez całe podwórze, niech ma porządną budę, ale do domu go nie sprowadzać.

Stanąłem pokorniutko w kąci.

Beczkę na nowo wyparzyli, wysuszyli i dalejże ubijać w niej kapustę stęporkiem, wszyscy po kolei. A gospodyni tylko przesypuje to solą, to koprem, to wrzuci ząbek czosnku, to znów sól i tak w kółko aż do pełna.

Wreszcie przyszło denko, a dwa ciężkie kamienie przypieczętowały i przydusiły kapustę, żeby nam z beczki nie wyskoczyła, jak zacznie kisnąć.

Zatoczył gospodarz beczkę do kąta i mówi:

- Jak ze dwa tygodnie w cieple pokiśnie, to ją wyniesiemy do piwnicy.
- Ooo, dotrzyma do nowej, nie ma strachu! - zawołała znad kądzieli babulka.

O ŚLISKIEJ PODŁODZE, O TWAROŹKU, O PSIEJ BUDZIE, PTASIM JADLE, O WSZYSTKIM PO TROSZKU

Niezgorzej mi się teraz dzieje. Na piecu mam ciepło i nikt mnie z izby nie wygania, ale ja sam, z dobrej woli, lubię Kacperka odprowadzić do szkoły i sprawdzić porządek na podwórku, żeby się to wszystko za bardzo beze mnie nie rozpanoszyło.

Zeszłego tygodnia przybył w obórcę naszej Krasuli cielaczek. Takie sobie zwyczajne łaciate cielę, co podryguje i ogonem miele. Krasula daje teraz dużo, dużo mleka.

Dzisiaj gospodarz wszedł do izby i mówi:

- Przelej, Antek, mleko do bańki i zanieś do mleczarni spółdzielczej.

Myślę sobie: „Co też to może być takiego - ta »mleczarnia spółdzielcza«?”

Wychodzi Antek z bańką, a ja za nim. Jest trochę zimno. Ale słońce pięknie świeci. Minęliśmy nasze podwórko. Z płotu wróble się drą:

Cwir... ćwir... ćwir... to ci heca, wylazł Kajtek dziś z za pieca!...

Ale nochal ma czerwony, tam za piecem odmrożony!...

Ćwir... ćwir... ćwir... ćwir!...

Nawet nie spojrzałem na tę hołotę, tylko dumnie kroczę za Antkiem, a tu Cukierek z zagrody Chmielów na mnie zębiska szczyrzy i ujada przez płot, ile wlezie. Też nawet nie zwróciłem uwagi na tego pokurcza.

Idziemy sobie z Antkiem ważni - prosto do mleczarni spółdzielczej. Ta mleczarnia daleko, na samym końcu wsi. Duży dom, piękny, czerwony, koloru mojego dzioba.

Weszliśmy do środka. Było tam ładnie, czyściutko. Pachniało mlekiem i świeżym serem. Chciałem sobie wszystko obejrzeć, ale nogi mi się rozjeżdżały, bo podłoga była dziwnie śliska.

Myślę sobie: „Co za sens taką podłogę robić?” I ostrożnie sunę do takiego posrebranego szafliczka ze świeżym twarożkiem. Dziobnąłem raz i drugi porządny łyk, a tu się robi rwetes... Napada na mnie taki jakiś zabijaka i krzyczy:

- Bocian twaróg dziobie!... Do mleczarni nie wolno wprowadzać psów, bocianów ani innych zwierząt!...

Zląkłem się okropnie, nogi mi się rozjechały i klapnąłem jak długi na śliską podłogę. Musiał mnie Antek wziąć pod pachę. Takiego wstydu się najadłem!

Przyglądałem się z za pazuchy Antkowej temu zabijace: sam się przebrał za bociana w biały kitel z rękawami, a porządnemu bocianowi żyć nie daje!... Na mnie to krzyczał, a teraz

opowiada grzeczniutko Antkowi, Jurkowi od kowalów i jeszcze paru chłopcom, co też tu mleko przynieśli, jak trzeba krowie wymię myć, jak doić, jak cedzić mleko i różne inne głupstwa.

Jedno tylko, co miał rację, że psów nie pozwala wprowadzać!

Wyszliśmy wreszcie i Jurek z Antkiem zaczynają wychwalać tę mleczarnię spółdzielczą.

Myślę sobie: „Gadajcie, co chcecie, a moja noga już tam więcej nie postanie”.

Kiedyśmy wrócili, chłopcy zabrali się do zabijania kołków w ziemię i ogacania igliwiem Bukietowej budy.

Wcale tego niewarte to szkaradne psisko, ale coraz zimniej, trudno, niech i jemu będzie trochę cieplej!...

A po obiedzie Kacperek mówi do Weroniki:

- Chodź, Werośka, musimy karmę dla ptaków zebrać do woreczków.

Gramolą się na strych, a ja strasznie zaciekawiony za nimi - hyc! hyc! ze szczebla na szczebel, coraz wyżej. A tam na strychu wiszą pęczki suchej jarzębiny i dzikiego bzu, i jałowcowe różgi, a na płachcie leżą nasiona ostu i rozmaite inne.

Zabrali się oni do roboty, a ja sobie myślę, że ten Kacperek to chyba ma źle w głowie, ptaszyska będzie karmił!

Zimno było na strychu, więc zeszedłem do izby, stanąłem na krawędzi pieca i patrzę przez okno.

Siedzą wróble na płocie, nastroszyły piórka z zimna, pokurczyły się jak Wawrzonkowe piąsteczki.

Myślę sobie: „Obwiesie, drapichrusty, nicponie z was i obieżyświaty. Ale Kacperek nie da wam zimną z głodu uświerknąć, trudno, takie tałatajstwo też widać potrzebne na świecie”.

Zeszły dzieci ze strychu z wypchanymi woreczkami i zawieszają je u pułapu.

Poskrzypuje od pieca babulkowy kołowrotek:

- Dobrze, dobrze robicie, że o ptaszkach pamiętacie - mówi babulka. - Uświerkłyby bez was, chudziny, bo to latoś bociany w czas odleciały... Sroga zima idzie na świat...

O MYSICH PSOTACH I JAK ZAMIAST MYSZY MOŻNA ZŁAPAĆ KOTA

Minęły słoty.

Myślę sobie: „Teraz to już pewno zaraz będzie wiosna!” Ale gdzie tam, sypią się takie białe piórka z nieba, nie wiem, kacze czy gęsie, ludzie to nazywają - „śnieg”.

Okienka zamarzają, że nawet wróbli przez nie nie widać, choć wiem, że ciągle za szybami podrygują.

Przyczajam się, jak tylko mogę, w izbie, żeby mnie aby do tego kurnika nie wyprawili. Gospodyni wygania mnie co dzień na podwórko, ale ja pospaceruję trochę i niech tylko kto drzwi odemknie - to zaraz myk! do izby.

Wypatrzyłem niedawno, że naprzeciwko rogu pieca mają myszy w ścianie norę. Tych myszy w chałupie tyle, że sobie rady dać nie można. Podobno się z pola to tałatajstwo sprowadziło!

Przędzie babcia dzisiaj taką wielką kądziel kłaków, gospodyni łąta worki, co je myszy w komorze pocięły, Mruczek zwinął się w kłębek i chrapie na tych wylatanych workach, a ja stoję sobie wysoko na kominie na jednej nodze i niby śpię, a jednym oczkiem zerkam na tę mysią norę.

Aż tu nagle patrzę - wyskakuje mysz z tej nory, jakby nigdy nic! Pokręciła się pod ławką, zawinęła się koło pieca, pomerdała ogonem i hyc! do nory z powrotem.

Aż się we mnie wszystko zatrzęsło! A tu już druga szasta ogonem koło komina!

Myślę sobie: „Czekajcie, gryzikrupki!... Już ja wam pokażę!”

Cichusieńko jak aniołek sfrunąłem na ziemię i przycupnąłem tuż za rogiem pieca, na wprost mysiej nory.

- Czekajcie, gryzikrupki, w kopaniu na polu mi się z wami nie udało, ale teraz mi się uda! Nie bójcie się, nie będzie gospodyni worków po waszych zębiskach łątała. Niedoczekanie! Już Kajtuś się z wami rozprawi!

Stoję, stoję, już mi nogi całkiem zdrętwiały i szyja ścierpła, a ja nic, tylko oczyska wybałuszam w tę norę jak wrona w gnat. Czatuje, ani drgnę!... Nic, cicho.

Aż tu nagle... w tej norze coś mignęło... Patrzę - wąsiczki, a pod wąsiczkami wężący nosek, a nad noskiem oczki jak pacioreczki...

- Bij, kto w Boga wierzy!

- Hop! Siuup! Ciup!... Gdzie mój dziób! Łupnąłem w coś twardego! Co się dzieje?! Co za wrzask?!... Mysz kocim głosem miauczy? Czy co?

- Miau. Miauuu!... Miauuuuu!... - aż się szyby trzęsą.

Mruczek tarza się przy norze i wrzeszczy: - Miauuuu! Ja mam pełny dziób kociej sierści, a po myszy - ani śladu!

Stoję, nic nie rozumiem.

Nadbiegły babcia z gospodynią.

- Co się tu znowu stało?

- Polowali widać na jedną mysz - powiada babcia - czatowali po dwóch stronach pieca, nie wiedząc o sobie, rzucili się na nią razem i Kajtek, zamiast mysz, łupnął Mruczka w szyję!

Oj, było z nas śmiechu, było!

Mruczek z przekrzywioną szyją usiadł z powrotem na workach i miał bardzo obrażoną minę, ale cóż ja byłem winien, że mu się też nagle zachciało po kryjomu polować na myszy?

Gospodyni wróciła do przerwanej roboty i - szach-mach! łata worki, że aż strach, podszedłem do niej, a ona mówi:

- Dobry Kajtek, porządny bociuś, myszy nam płoszy!

I wyciągnęła rękę, żeby mnie pogłaskać, a tu jej z palca - hop! taki srebrny ślimaczek i - hyc... hyc... hyc!... podskakuje sobie po podłodze, dalejże ja za nim - dopadłem i - łyk! połknąłem czym prędzej. Niechże chociaż ślimaka połknę, kiedy mi mysz uciekła.

Myślę sobie: „Teraz mi gospodyni jeszcze piękniej podziękuje!”

A tu tymczasem gospodyni na mnie - hurru-burru!

- Coś ty zrobił najlepszego, Kajtek? Naparstek mi połknąłeś, a i jakże ja te twarde worczyska będę szyła bez naparstka?!

No, i jak z tymi ludźmi trafić do ładu?!

O FILIPIE, FREDZIU KICIE I O TYM, KTO KOMU URATOWAŁ ŻYCIE

Babcia zrobiła nową kądziółkę, wielką jak stóg siana, i poszła z gospodynią po ziemniaki do piwnicy, a ja sobie myślę: „Na tej kądziółce toby się siedziało jak na bocianim gnieździe!”

Więc sfrunąłem sobie z pieca prosto na kądziółkę, umościłem się wygodnie, w nogi mi ciepło, myślę sobie: „Gospodyni przyjdzie, to mnie pochwali!”

A tu znowu na odwrót! Wróciły z ziemniakami, narobiły gwałtu, że im kądziel potarłosłem, i - buch!... znowu się znalazłem na podwórzu.

Ale na szczęście słoneczko przygrzewa, że aż miło, śnieg błyszczący i wcale nie jest taki zimny. Myślę sobie: „Nie pójdę do kurnika, nie będę z tymi zmarzluchami kurzymi siedział, tylko pójdę sobie na łąkę. Może już żabki się pokazały?!”...

Idę po śniegu zamaszystymi krokami jak nasz gospodarz, nic nie pytam.

Minąłem stodołę, nasz płot, i idę... idę... przed siebie precz polem, aż tu, kiedy mijałem polną kamionkę porośniętą tarniną, nagle: - Hyc!!! - coś prosto na mnie wyskoczyło. A naprzeciwko mnie z przerażenia przysiadł na ogonie mój dobry znajomy jeszcze z lata - Filip Wypłosz. / Powiadam mu:

- A toście mię dopiero, kumie Filipie, przerazili!

A on mi powiada:

- A toście mi dopiero, kumie Kajtku, napędzili strachu!...

- Ano, co słychać?

- Ano, nic nowego!

- Prędko będzie wiosna?

- Jakoś jeszcze nie widać!

- A gdzie to mieszkanie?

- A tutaj mamy z żoną kotlinkę między kamieniami pod cierniem.

- A nie zimno wam?

Filip ruszył dumnie wąsami:

- Żadnemu porządnemu zającowi, co potrafi wynaleźć sobie zaciszną kotlinkę od południowej strony i porządnym zimowym futrem podbić sobie szubę na jesieni, nie może być zimno!

- A jak wielki mróz chwyci?

- To się potańcuje po śniegu, poharcuje po polach i zaraz jest gorąco.

- A mieszka też tu jeszcze kto koło was w tej kamionce?
- Tak, mamy sąsiada!
- A któżże to taki?
- Jerzy Szpileczka, śpi tutaj pod kupą liści, między kamieniami.
- A może by go obudzić?!
- Oho! Nie obudzi się do wiosny, choćby tu armaty zatoczyć! Szkoda mrugać! Chrapie jak zabity. Nikt o nim nie wie. Dawno by go Kita schrupał, gdyby o nim wiedział.
- Czy to czasami nie żaba?!
- O, nie, to jeż, żaby śpią w błocie, nie po polnych kamionkach.
- A jak też wygląda ten jeż?
- Taki ze szpilkami na grzbiecie.
- Aha! Aha! już wiem! Spotkałem takiego w lesie na jesieni, nie ma z niego żadnego pożytku! - klapnąłem pogardliwie dziobem.

W tej chwili potoczyły się koło nas spod kamionki szare kulki, pomknęły żwawo po śniegu i wbiły się w powietrze z furkotem jak te wielkie ptaki metalowe, że aż się zatrzęsłem na nogach:

- Ojej! a to co, u licha?!...

Obejrzałem się na Filipa Wypłoszą - już go nie było: pomykał het gdzieś pod lasem, zakreślił wielkie koło na śniegu i wracał z powrotem do mnie.

- Gdzieście to latali, kumie Filipie?

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże! Nie wiadomo, czy coś, co spłoszyło kuropatwy, nie jest groźne i dla zajączka. Ehe! ale tym razem się nabrałem! Patrz, tam pod tarniną!

Spojrzałem uważnie: spomiędzy kamieni wyglądał trójkątny pyszczek z bystrymi, okrągłymi oczkami.

- Łapaj - trzymaj! - rzuciłem się jak szalony, myśląc, że to szczur, taki jak te, co się kręcą u nas w świronku⁵. Ale tylko dziób sobie nadwerżyłem o kamienie, a z owego pyszczka nie zostało ani śladu.

- Ho! ho! ho! - śmiał się Filip - zachciało ci się polowania na łasiczki, nie tacy jak ty nie mogą ich złowić!

- Ta łasiczka, naprawdę, to się powinna nazywać „łaziczka wścibinoska „; przepatruje wszystkie kąty i poluje, na co się da. Wszędzie jej pełno. Teraz jej się zachciało kuropatwy. Nie daje nam tu spokoju w naszej kamionce, ciągle nas odwiedza, dobrze, że ją przepłoszyłeś!

Napuszyłem się dumnie i powiedziałem:

- Ja bym ją od razu na twoim miejscu schrupał!

- Dziękuję ci bardzo! Zające nie chrupią nic innego prócz liści i korzeni!

- No, to czymże ty żyjesz, trzeba było z bocianami polecieć do Afryki!

- Znajdę sobie pod śniegiem trochę głąbków i kapuścianych liści, poobgryzam trochę gałązek w lesie, lepiej mi się powodzi niż kumie kuropatwie, ta się tylko ciągle w śniegu musi grzebać za nasionkami.

Chciałem się jeszcze Filipa o coś zapytać, kiedy od strony lasu nadleciały dwa śliczne ptaszki w kolorowych berecikach i zaczęły dziobać gałązki tarniny.

- Hej, kle, kle! Czego wy tam szukacie, kolorowe kulki?

- My nie jesteśmy „kolorowe kulki” - tylko sikorki i szukamy owadzych jajeczek.

- A smaczneż to aby?

- Najlepszy obiadzik z jajeczek owadzych! - świergotały sikoreczki, wydłubując ostrym dziobkiem, zręcznie jak obciążkami, jajeczka z gałązek tarniny.

Przelknąłem ślinę i zacząłem przemyśliwać, jak by się tu dostać do tych jajeczek owadzych.

- Z moim „dziobkiem” to będzie chyba trochę trudno, połknąłbym całą gałąź razem z jajeczkami - powiadam, kiedy nagle znowu furknęło mi tuż nad uchem stadko kuropatw i zapadło z powrotem pod tarninę. Wzdrygnąłem się i powiadam:

- Mój kumie Filipie! - oglądałem się, a tu znowu po Filipie tylko ślady na śniegu; rozejrzałem się po polach, a tu w stronę łąki „kipi” mój kumoter Filip Wypłosz, uszy położywszy po sobie. Za to nadlatuje od lasu, nisko, tuż nad polem, ciotka wrona kracząc niepokojąco:

- Kra, kraa, kraaa!...

- Czego dziób rozdierasz, ciotko Wroni-sławo? - zaklekotałem do niej po imieniu, bo ją znałem osobiście z naszego podwórka, gdyż nieraz Bukietowi wyjadała ziemniaki z miski.

Wronisława wylądowała na chwilę tuż przy mnie na kamieniu i wrzasnęła mi do ucha:

Kra, kra, kraaa!

Uciekaj, Kajtek, a nie zgub majtek, bo cię lis Kita na pieczeń schwyta!

Poderwała się i pofrunęła w kierunku wsi kracząc ostrzegawczo.

Rozejrzałem się trwoźnie. Wydało mi się, że rowem od strony lasu coś pomyka, tak jakby nasz Bukiet, tylko ogon ma bardziej puszysty.

Słońce zachodziło właśnie czerwono nad samym lasem i wydawało się, że sierść na

tym dziwnym zwierzu się pali.

Przeszył mnie dreszcz przerażenia i puściłem się cwałem, pomagając sobie skrzydłami ile tylko sił, w kierunku zagrody Orczyków, nie oglądając się wcale za siebie.

Kiedy wpadłem do kurnika, wszystkie grzędę już były obsadzone przez kury, zepchnąłem je i wpakowałem się na najwyższą grzędę.

- Kokokoko!... - kokosiły się nieżyczliwie kury.

- Cicho tam!!!... - burknąłem na nie z góry. - Lis, Fredzio Kita, podchodzi pod nasz kurnik.

Heeej! Gwałt się zrobił nie do opisanego! Kury gdakały, koguty kotkodakały, kaczki kwakały, szara gęś gęgała, że o mało kurnik nie pękł.

A ja siedzę na grzędzie i czekam, co z tego będzie!

A tu leci Antek i gospodarz z widłami, gospodyni z pogrzebaczem, babcia z ożogiem, a Werosia i Kacperek z kijami.

- Tu był lis!

- Ani chybi!

- Zeszłej nocy wszystkie gęsi u Dołężków podusił!

Przepatrzyli wszystkie kąty, zamknęli okienko, Bukieta uwiązali na długim łańcuchu przy samym progu kurnika, a Kacperek wziął mnie pod kapotę i poszliśmy do izby.

Stałem sobie na piecu na jednej nodze, wtuliłem dziób pod skrzydło i myślę sobie: „Hej! hej! moi gospodarze, gdybyście też wiedzieli, kto wam ocalił tę całą hołotę z kurnika!”...

Gdyby nie Kajtuś i jego wyprawa w pole, toby Fredzio Kita ładny porządek w kurniku dzisiejszej nocy zaprowadził!...

O SZMACIANYM PAWEŁKU, O KUKIELCE I MASEŁKU

Zimno i zimno!

Oboje z babulką bardzo w nogi marzniemy, tylko że Antek upłócił babci takie słomiane bambosze, a o mnie zapomniał.

Teraz siedzi sobie babcia w bamboszach, w nogi jej ciepło i kłaki z kądziółki przedzie, a ja drepcę po izbie, zimno mi i głodny jestem - skubnę frędzle od kapy na łóżku, dziobnę guzik od poduszki, ale to wszystko nie da się wcale połknąć.

Nasza Weronika z Teresą Chmielówną od sąsiadów siedzą pod piecem na ławce i coś krają, coś szyją, majstrują, a przy nich przysiadły jakieś małe kudłacze, rozkraczone jak żaby. To są ich ukochane „lalusie szmaciane”!

- Tereska, wiesz co?

- No, co?

- Uszyjemy Pawełkowi czerwony kubraczek do tych zielonych majteczek!

- No, dobrze, i czerwoną czapeczkę - będzie krakowiak.

- Ej, chodźcie no, dzieci, dam wam kukielkę, co ją wczoraj upiekłam! - zawołała babcia.

- A posmaruje babcia masłem?

- Posmaruję, pewno jesteście głodne!

Dziewczyny wstały i pobiegły do babulki, a ja tymczasem - chyłkiem, boczkem do tych czupiradlaków, co zostały na ławie. Jeden był zielony. Myślę sobie: „Pewno smakuje jak żaba!...”

Cup! go dziobem i dalejże łykać czym prędzej, ale miał strasznie długie nogi, ledwo zdążyłem jedną nogę połknąć, a tu już lecą dziewczyny z krzykiem:

- Kajtek nam Pawełka porwał!

- Oddawaj Pawełka, łotrze jeden! - Wyrwały mi z dzioba to straszycło, otworzyły drzwi do sieni i dalejże mnie gonić z izby, a ja się chowam to za piec, to na piec, to podskoczę, to podfrunę, a one za mną z pogrzebaczem i z miotłą, a ja im zmykam co tylko siły, po całej izbie. Niedoczekanie, żebym ja za jakiegoś szmacianego cudaka miał na podwórku marznąć!

Frunąłem na piec - Weronika na mnie z pogrzebaczem, przefrunąłem na szafę - Teresa na mnie z miotłą, więc rozłożyłem skrzydła i frrr! - przefrunąłem w drugi kąt izby aż za kołowrotek, wtuliłem się w fałdy babcinej kiecki i jednym okiem zerkam, co też z tego

będzie. A babcia zasłoniła mnie fartuchem i powiada:

- Kajtuś głodny tak jak i wy, to chciał Pawełka spróbować, bo myślał, że to żaba. Dajcie mu trochę chleba i zostawcie go w spokoju, przecież to dopiero luty, na bociana jeszcze za zimno.

Więc mi Werosia i Tereska podały po kawałku tej kukielki z masłem, a same wróciły szyć dla tych swoich lalusi.

O j ej ej! Jakie też to pyszne było! Chyba takie dobre jak żaba prosto ze stawu!

Podsunałem się bliżej dziewczynek.

Werosia z Tereska położyły swoje kukielki z masłem przy sobie na ławie i przyszywają Pawełkowi nogę, co mu się w moim dziobie trochę naderwała, a potem zaczęły go stroić w czerwony kubraczek i czerwoną rogatywkę ze szmatki od Teresinej matki.

A ja nic, tylko ciągle czuję, jak ta kukielka z maselkiem ślicznie pachnie.

Powolutku, po cichutku podsunałem się z boku i - cap! kukielkę Tereski! - Cap! kukielkę Weroniki! Połknąłem prędzusieńko jedną po drugiej i frunąłem na piec.

Ledwo zdążyłem stanąć na jednej nodze i zamknąć jedno oko, a tu już Teresa i Weronika krzyczą:

- Gdzie nasze kukielki?!...

- To znowu pewno to bocianisko nam zjadło nasze kukielki z masłem!

- Nie trzeba chleba po ławkach rozkładać; gdybyście zjadły od razu, toby wam żaden Kajtek kukielki nie ruszył! - powiedziała babcia.

Ta babcia to jest mądrzejsza od wszystkich ludzi i może nawet od wszystkich bocianów na świecie!

Siedzę sobie na piecu, popatruję na dziewczynki jednym okiem spod skrzydła i podklekotuję sobie w duchu:

Kle-kle-kle - klekotem!

Nie odkładaj na potem!...

Dobra, kle-kle - kukielka, gdy dołożysz maselka!

O PAJDCE Z PIEPRZEM I O TYM, CO OD CHLEBA LEPSZE

No, nareszcie robi się trochę ciepłej. Noce są krótsze, słońce mocniej dogrzewa, już teraz nie siedzę na grzędzie z kurami ani w izbie na piecu, tylko idę sam, z własnej woli na podwórko i spaceruję po całym obejściu, grzeję się na słońku i pilnuję, żeby wszędzie był porządek, albo wychodzę na gościniec, zaczajam się na dzieci, co idą do szkoły, i odbieram im chleb z masłem. Odkąd spróbowałem tej Weronczynej kukielki, to ciągle bym tylko chleb z masłem jadł.

Jak dzieciaki idą do szkoły, to zawsze w torbie kawałek chleba niosą, i to często posmarowany masłem. Te starsze to się mnie nie boją, ale za takim malcem jak pogonić i w piętę z raz dziobnąć, to zmyka z wrzaskiem i chleb za siebie rzuca!

To zdobędę na dzieciakach parę dobrych pajdek chleba, nie przepuszczę żadnemu smykowi, podjem sobie i wracam jakby nigdy nic na swoje podwórko.

Różne wstrętne ptaszyska: jakieś pokraki wrony, kawki, podkasane sroki i wróble, śmigają w powietrzu jak ryby w wodzie, a ja jakoś nie mogę... Podfrunę trochę i zaraz opadam na ziemię... Pamiętam doskonale, jak przed zimą i ja latałem...

Ooo, jak to było przyjemnie tak płynąć sobie w powietrzu wyżej niż chmury, pod samym słońcem. Teraz ani rusz nie mogę! Rozłożę skrzydła szeroko: - mach... mach... mach... biję nimi powietrze, podskakuję, podryguję, ale nie mogę na dobre nóg oderwać od ziemi, jakby były z kamienia. Zesłałem tak widać pod wiosnę w tej izbie.

Sroki i wróble, jak tylko to zobaczą z płotu, to zaraz skrzeczą i ćwierkają mi nad uchem:

Kajtek z korytka ziemniaczki wsuwa, ale zapomniał w powietrzu fruwać!

Kajtek skrzydłami-mach, mach, machu!...

Latać nie będzie, nie ma strachu!

Nie zwracani wcale uwagi na to, co ta hołota wywrzaskuje z płota, ale co by to było, gdyby moi bracia wrócili z ciepłych krajów, a ja bym nie umiał fruwać! Ćwiczę po całych dniach, ale jakoś tępo mi idzie!

Dzisiaj wyszedłem znowu na gościniec, patrzę, leci Marysia od Chmielów i druga jeszcze mniejsza od niej. Zaczaiłem się pod płotem, minęły mnie, a ja jak się za nimi nie puszcę, dziewczyny w krzyk, a ja im z dziobem do pięt!

- Dacie chleb czy nie, bo wam pięty podziurawię!!

Rzuciły mi pajdę chleba, złapałem ją i w krzaki... A tu słyszę Antka głos.

- Kajtek, rozbójniku jeden, nie wstyd ci to na dzieci napadać?!...

Łykam za krzakiem tę zrabowaną pajdę czym prędzej, żeby mi jej nie odebrali, i słyszę, jak Antek z Kacprem coś do siebie mówią i śmieją się, że aż się zataczają, biegnąc pędem do domu.

Pożarłem moją kromkę chleba co do okruszyny i wracam na podwórko. Patrzą, a tu już Antek rąbie drzewo, a Kacper siedzi przy nim na kłodzie i przypatruje się, jak szczapki drzewa pryskają spod siekiery.

Podchodzę bliżej, patrzę, a tu przy Kacperku leży tęga pajda chleba nasmarowana grubo masłem!... Kacper nie patrzy wcale w tę stronę, tylko na te polanka, co je Antek rąbie... Wyciągam nogi, skradam się ostrożnie - łaps!... za chleb i w nogi!...

Przystanąłem za drwalką i łykam pajdę co sił, mało się nie udławię!

- Ojojjoj. Co to!... Szczypie!... Piecze!... Pali!... Kle... Kle... Ratunku... Ratunku!...
- Otwieram dziób, ziaję, zaczynam biegać po podwórku i bić, bić skrzydłami z tego pieczenia... Wtem czuję, że się unoszę w powietrzu coraz wyżej!... Co za radość!... Pali mnie okropnie w gardle, ale to nic! Co za szczęście!... Już siedzę na stodole i skaczę po dachu, podryguję, bo w gardle piecze jak rozżarzone węgle spod komina!

Wstrętne chłopaczyska zaśmiewają się na podwórku, klaszczą w ręce i krzyczą: - A widzisz, Kajtek, oduczmy cię rozbójnictwa, teraz zawsze chleb będzie pieprzem posypany dla ciebie, złodziejaszku, szabrowniku jeden!

Ojej, już nigdy w życiu tego chleba nie ruszę, żeby był nie wiem jak grubo masłem posmarowany. Drugi raz już się na ten pieprz nie dam nabrać.

Ale właściwie to nic się złego nie stało, w gardle mnie trochę popiekło, w nosie pokręciło, ale za to nauczyłem się latać!

Zaraz prosto z dachu rozłożyłem skrzydła i poleciałem na łąki zobaczyć, czy jakiej żabki nie spotkam czasami.

Żabki jeszcze nie spotkałem, ale niedługo już się pokażą i co mi tam wtedy po waszym chlebie! - schowajcie go dla siebie!

Dzieci niech sobie jedzą chleb z masłem i niech chodzą na piechotę, a ja będę latał i łykał żabki na łące.

I ciekawy jestem, czyje drugie śniadanie będzie smaczniejsze!...

Kle! kle! - słoneczko coraz lepiej dogrzewa, już nie tylko ja, ale i moi gospodarze nie siedzą w domu!

Śniegi już zeszyły, ziemia rozmarzła, na śmietnikach, koło kopców, na gościńcu, wszędzie pełno różnych skarbów.

Zwiedziała się o tym Wronisława i różne inne cioty-wroniska i dalejże po naszym podwórku myszkować jak po swoim własnym!

Łazi toto kroczykami jak żołnierze na musztrze i co rusz grubym jak kłonica dziobasem ciągnie: a to gnat ze śmietnika, a to jaką szmatę, a to stary chodak.

Zgniewało mnie to okropnie, powiadam:

- Fora ze dwora! - i jazda na nie z dziobem!

A tu Antek z Kacprem jadą z taczkami i dalej te wszystkie śmieci grabić i wywozić na wielką kupę za stodołą.

Mówili, że będzie z tego „kompost”. Nie wiem, co to jest „kompost”, ale to była bardzo wesoła robota.

Oni grabili, wozili, a ja pilnowałem, żeby żadna kura ani wrona nie kradła tych skarbów; co się która tylko zbliżyła, to dostawała po ogonie.

Ja tu dozoruję, a tam patrzę - idzie gospodyni, babcia i Weronika z koszami, w parcianych fartuchach, idą prosto do kopca z ziemniakami, odwalają go i zaczynają ziemniaki przebierać. A tu już szara gęś i kury się zwiedziały, już w dyrdaczka za nimi!...

Myślę sobie: „Co tu robić, chłopcom trzeba pomagać i gospodyni także, ale tam siedzi moja babulka, to tamto dla mnie ważniejsze” - i puściłem się cwałem do kopca.

Przypadłem na czas, żeby rozpędzić całą bandę kaczek i kur, a najlepiej dostała ode mnie po ogonie szara gęś.

Babulka mówi:

- Dobrze, Kajtuś, dobrze! Trzymaj porządek, żeby nam tu nikt nie psocił.

Stanąłem sobie na kopcu, robota idzie jak się patrzy.

- Uważaj, Werosia, te najlepsze ziemniaki dawaj na sadzeniaki, te w gorszych łupinkach zje sobie nasza świnka, a te zgniłe - prosto z mostu - pójda sobie do kompostu!

Idzie przebieranie ziemniaków, że aż furczy, ja porządku pilnuję, a tu ci gospodarz nagle Kasztana ze stajni wyprowadza, zawiódł go pod szopę, do brony założył i zawołał:

- Ej tam, chłopaki, zostawcie na dzisiaj tę robotę przy kompoście, bierzcie łopaty, pójdziemy na łące porządek robić!

Jak ja to usłyszałem, poderwałem się z kopca na skrzydłach i już byłem przy nich!

Na łące porządek robić! Co to znaczy? I po co te łopaty? Chyba teraz to już nic innego, tylko dziury będą kopać, żeby prędzej żaby na świat powyłaziły!

Ruszył gospodarz z broną, za nim chłopcy z łopatami, a ja na ostatku, to pomaszceruję na piechotę, to kawałek podfrunę sobie, jak się da.

Babulka woła za mną:

- Toś ty taki, Kajtuś, to nas zostawiłeś tym kurom i kaczkom na rozdziobanie!...

Ale ja nic, ani się obejrzę, udaję, że nie słyszę, bo co łąka to łąka, to dla bociana najważniejsze i kwita!

Gospodarz mówi do chłopców:

- Dziś wybronujemy naszą łąkę, a za dwa dni kompost się po niej rozrzuci. Zobaczycie, nikt nie będzie miał takiej trawy, jak my!

Przyjechaliśmy na łąkę, gospodarz bronę opatrzył, ustawił jak potrzeba i zawołał:

- A wy, chłopaki, nie bałamucić, tylko mi na całym pastwisku kretowiny porozrzucić!

Chłopcy ruszyli z łopatami do roboty, a gospodarz zawołał - Wio!! na Kasztana i poszli równo, pas po pasie, przez calutką łąkę. A ja tuż za broną, czy też jakiej żabki spod ziemi nie wybronuje.

Żaba żadna się nie wybronowała, ale za to wronisków nazlatywało się tyle, że aż łąka od nich poczerniała.

Ja kroczyłem tuż za broną, więc żadna wrona nie śmiała się przysunąć za blisko, ale dreptały parę kroków za nami, myśląc, że Bóg wie jakie skarby im wybronujemy. Ale broną to nie pług! Poruszyły jej zęby ziemię, nawy-czesywały mchu, przewietrzyły zwartą darninę. Jeśli jeszcze tego „kompostu” podsypią, to będzie potem ponoć łąka rosła jak pierzyna, będą po niej żabki skakały, że aż miło. Ale tymczasem niewiele było co do łyknięcia, czasami tylko jaki pędraczek albo dżdżownica...

Słońko dogrzewa. Poruszona ziemia pachnie niezapominajkami. Tak mi jest przyjemnie, że nawet z wronami przestałem wojować.

A tu nagle z nieba:

- Tirli, firli, lullu, lullu! - leci polna piosenka.

Spojrzałem ku górze. Skowronek nad naszymi głowami zawisł jak na niteczce i śpiewa.

- Kle, kle! - rozłożyłem skrzydła, podleciałem parę kroczków i wzbiłem się w powietrze. - Kle, kle! skowronku kochany, kiedy przylecą bociany?

Pamiętałem przecież dobrze, że skowronki później po bocianach, ale też do ciepłych krajów odleciały!

Chciałem do niego podfrunąć, o moich braci zapytać, ale on, głuptasek, wzbił się wyżej, ja za nim, on jeszcze wyżej i jeszcze, i jeszcze, a ani na chwilę nie przerywa swojego:

- Tirli - firli!...

„Nic się od tego »tirlifirlika« nie dowiem” - pomyślałem sobie i wróciłem, żeby chodzić dalej za gospodarską broną, a on śpiewał nam tuż nad głową aż do samego obiadu!

Może śpiewał co i o moich braciach bocianach, ale ja po skowrończemu nie umiem, więc nic nie mogłem zmiarkować.

Na naszej łące rozlała się woda, na naszej łące wierzby z rosochatymi głowami stoją po pas w wodzie i zielenieją wesoło jak żabki!

Dzisiaj wracam na południe do zagrody i siadam sobie na dachu stodoły przy starym gnieździe bocianim, a tu widzę, Antek też wraca z pola, wyprzągnął Kasztana, wprowadził do stajenki, pogadali o czymś z ojcem, poszli na obiad.

A po obiedzie co się dzieje? Antek z Kacperkiem ciągną w stronę stodoły tę największą drabinę, gospodarz z Weroniką taszcą ze świronka starą bronę, wylegli przed dom gospodyni, babulka i Wawrzonek, a przygadują, a cieszą się!

Myszę sobie: „Coś tam znowu wymyślili nowego!”

A tu już drabina oparta o dach stodoły, już Antek na nią włazi, już spycha stare, rozwalone gniazdo bocianie...

Odsunąłem się parę kroków po kalenicy i myślę sobie: „Do cna rozum postradali! - bociany lada chwila przylecą, a im do głowy strzeliło gniazdo bocianie psuć!”

A tu tymczasem Antek całutkie gniazdo zwałił na ziemię i dalejże razem z ojcem bronę na dach windować. Usadzili ją pięknie, akurat na miejscu dawnego gniazda, co się już rozpadało, i gospodarz powiada:

- No, będzie miał nasz Wojtuś nowe mieszkanie. Jak tylko przyleci, może się zabrać do budowania!

Jak ja to usłyszałem, okrutnie się rozzłościłem:

- Kle! Kle! Kle! Co za gadanie, dlaczego Wojtek, a nie Kajtek ma mieć to mieszkanie?!...

- Widzicie, jaki to skory do żeniaczki! - śmieje się gospodarz - jeszcześ za młody, szczeniaku! Jeszcze byś gniazda nie dał rady wybudować! Masz już rok, jeszcze dwa lata sobie pochodzisz luzem, to na czwarty dla ciebie nową bronę założymy!

Obraziłem się ogromnie, podskoczyłem parę razy, odbiłem się nogami i poleciałem sobie na łąki. Ledwo zdążyłem opuścić się na zieloną trawę, a tu patrzę, od południa, het wysoko! pod obłokami lecą dwa bociany i obniżają lot. Serce we mnie skoczyło z radości - moi bracia wracają! Ale widzę - bociany kierują się jak strzała prosto na stodołę Orczyków...

Wzbiłem się w powietrze w jednej chwili:

- Nie dopuścić ich do gniazda - to moje gniazdo!

Doleciałem pierwszy, stanąłem z nastawionym dziobem i zacząłem syczeć, żeby je odstraszyć.

Ale one niewiele sobie ze mnie robiły - jak na mnie natarły dziobami z góry, to musiałem zwiewać, gdzie pieprz rośnie... Co było robić?... Przeniosłem się na topolę za drwalką.

Stary bocian chciał mnie i stąd przegnać, ale jak zobaczył, że ja z gospodarzami i z całym podwórkiem „za pan brat”, to dał mi spokój.

Słyszałem, jak gospodarz mówił do Antka, że to są moi rodzice. Powiedział tak:

- To są te same bociany, co były łośńskiego roku!

Może to i prawda, ale w tym roku już mnie za syna nie uważają.

Jak Kacperek przyszedł w południe ze szkoły, to zaraz zaczął skakać na jednej nodze i wołać:

Kle-kle! bocian, kle-kle!

Twoja matka w piekle!

Co ona tam robi?!...

Diabłom kluski drobi!...

A te bociany zarzuciły głowy na grzbiet i klekotały, i klekotały, że aż się niosło po całym obejściu, po polu, aż het na łąki, a nasza babulka wyszła z domu i powiedziała:

- Jak to się też te bociusie z nami witają! Nacieszyć się nie mogą, że przyleciały!

O SZAFLIKU O RYBACH I O TYM, KTO NA NIE DYBAŁ

Stoję sobie dzisiaj rano na lewej nodze ładnie przy studni, a tu idzie nasz gospodarz i ciężkie wiadro dźwiga, a co i raz - chlup!... chlup!... woda z wiadra wypłuskuje...

A tak od tej wody przyjemnie zaciąga sadzaweczką i rybami, że aż mnie coś poderwało!... Więc opuściłem prawą nogę i chyłkiem, boczkiem puszczam się za gospodarzem, a on wszedł do domu i mówi do gospodyni:

- Przyniosłem ze spółdzielni trochę kroczków⁶, to nam do jesieni podrosną!

- Zaczekaj, nic z nimi nie rób, póki dzieciaki ze szkoły nie wrócą, toć dla nich będzie uciecha!

- Ano, dobrze, to je jakoś do tego czasu przetrzymam!

Postawiła gospodyni szaflik na środku izby, przelała do niego wodę z kubła i oboje z gospodarzem poszli do obrządku, a mnie jakoś wcale nie zauważyli. Zostałem w izbie sam z Wawrzonkiem!

Ja tylko na to czekałem! Dalejże do tego szaflika!

Wawrzonek jak na komendę puścił kołyskę, usiadł z rozmachem na podłodze i zaczął bałykować z drewnianą warząchwią, co ją trzymał w rączce, prościutko do szaflika.

Ja dobiegłem pierwszy, patrzę, a w szafliku pozłociste ryby sobie pływają, ogonkami wachlują jak latem w stawie.

Zasadiłem się na jedną - cap! ją za ogon i - łyk! ani się obejrzała.

Zacząłem się na drugą, a tu przez ten czas Wawrzonek wspiął się na nogi, stanął przy szafliku i dalejże warząchwią po wodzie ciapać!

Mówię do niego po dobroci:

- Wawrzonek, nie strasz ryb!

A on nic, dalej swoje!

Stuknąłem go lekko dziobem, żeby nie przeszkadzał, a ten na mnie z warząchwią i z krzykiem.

Uskoczyłem w bok, chwyciłem jeszcze jedną rybę, chcę ją połknąć i nie mogę: strasznie grube to karpisko urosło, grdyka mi chodzi, oczy na wierzch wylazły.

Łyknąłem rybę do połowy i ani rusz dalej - ani w prawo, ani w lewo, a tu tymczasem Wawrzonek już pół szaflika wody tą warząchwią wychlustał.

Aż tu nagle drzwi się otwierają i gospodyni wraca do izby..

⁶ Kroczi - dwuletnie karpie wagi około 1/2 kg.

Uskoczyłem na piec z karpem utkniętym w dziobie.

- Co się tu dzieje?! Koniec świata!!! - krzyknęła gospodyni.

Oj, co to było! Lepiej nie wspominać.

Wawrzonek bronił się warzachwią, kiedy go przebierali w suchą sukienkę, ja wierząc nogami, kiedy mi karpia z gardła wyciągali, a koniec był żaloszny, bo Wawrzonek wpakowali do kołuski, a mnie gospodyni wyrzuciła za drzwi.

- Kiedy taki szkodny, niech siedzi w kurniku.

Wyleciałem przez ganek jak z procy i znalazłem się na środku podwórka.

A tu wróble obsiadły kalenicę na dachu i wrzeszczą:

Kajtek na podwórku dryp, dryp, dryp.

Bo mu się zachciało ryb, ryb, ryb!

„Skąd te wścibodzioby wszystko wiedzą?” - myślę sobie, a one krzyczą dalej:

Złapał Kajtek rybę w dzioby w dziób, w dziób!

Wyleciał z chałupy - hup - siup - siup!!!

Nawet nie spojrzałem na tych krzykaczy, tylko poszedłem prosto do kurnika.

W kurniku zaraz zaprowadziłem porządek: kogutowi dałem po grzbiecie i wyrzuciłem go za drzwi, że wyleciał prędzej niż ja z chałupy, szarą gęś zagnałem do kąta, kury spędziłem z drabiny i sam usiadłem na najwyższej grzędzie. Co tu robić?

A tu słyszę, Kacper i Weronika wracają ze szkoły. Oj, było pisku i krzyku na całe podwórze nad tymi rybami!

Gospodarze pobrali znowu ryby do wiader i dalej przez łąkę do sadzaweczki, a ja nie mogę w kurniku wysiedzieć - wymknąłem się i za nimi nogi wyciągani ile sił!...

„Na pewno jakieś głupstwo znowu z tymi rybami zrobią!” - myślę sobie. I tak, jakbym zgadł! Podeszli do sadzawki i - chlust!... chlust!.. chlust!... wszystkie rybki z wiader wypuścili do wody! Tylko ogonami fajtnęły z uciechy i pooo-szły!... Jak tu je teraz wyłapać!...

„Ale nic, będę na nie polował - myślę sobie - tak długo, aż wszystkie wyłapię!” A tu Kacper mnie zauważył i woła:

- Ej, Kajtek! Przyszedłeś na rybki?... Nic z tego! Nasza sadzaweczka głęboka! Łap myszy na polu, to się nam odwdzięczysz za wychowanie!

KAJTEK ORZE NA TRAKTORZE

Dzisiaj rano siedzę sobie na topoli za drwalką i przyglądam się spod oka, jak to tam moja rodzinka gospodaruje sobie na dachu stodoły, patyki coraz grubsze znosi, a utyka je, a buduje gniazdo na tej bronie. Przyglądam się temu i aż mnie w dołku ściska z żalu... Aż nagle jak mi coś nie zakracze nad samą głową!... Wzdrygnąłem się cały, a tu tymczasem ciotka Wronisława siada na naszym płocie i drze się do mnie na całe podwórko:

- Nie widziałeś traktora?!... traktorra?!... traktorra?!...

- Nie widziałem!...

- Cztery pola zaorrał!!... zaorrał!!... zaorrał!!...

- Kiedy?

- Dzisiaj od rana cała wasza rola zorana! A pędraków, jak maku wyorrał!... wyorrał!... wyorrał!...

- Nie pleć, kumo Wronisławo - powiadam jej grzecznie - jeszcze zimą mój gospodarz mówił, że orania będzie na cały tydzień! Gdzieżby tam w pół dnia mógł pole zaorać!

- Nie wierzysz?!... Niedowiarek jaki!... To siedź i czekaj na żaby, ja lecę na pędraki! Rozpostarła skrzydła i wrzasnąwszy:

- Ja lecę do traktorra!... traktorra!... traktorra!... - wzbiła się w powietrze i poleciała w stronę naszego pola.

A mnie tymczasem głód kiszki ściska, jak to na przednówku. Tych żab ciągle jeszcze jak na lekarstwo, a myszy polnych wcale nie widać, gospodyni też karmić mnie już nie chce, mówi, że wiosna, sam mogę pożywienia szukać...

Myślę sobie: „Trzeba zobaczyć, co to za zwierzę ten traktor, chyba jest dużo większy od naszego Kasztana, kiedy taki mocny”. I niewiele myśląc rozłożyłem skrzydła i puściłem się za Wronisławą.

Lecę szybko, żeby ją dogonić, a tu nagle słyszę, coś perkocze jak u nas w domu, kiedy pokrywa skika na saganie z bulgoczącymi ziemniakami dla nas na obiad.

Patrzę - co takiego?!... A tu jakaś pocieszna maszyna lata po polu. Zupełnie podobna z daleka do zabawki, co ją Wawrzonek dostał od wuja na jarmarku.

Jeździ tam i z powrotem, trzy skiby od razu odwała, a śliczna - takiego koloru jak moje nogi i dziób!

Patrzę, a tu już ciotka Wronisława kulasy wyciąga jak tylko może i gania za tym traktorem, ale co pędraka albo jaką larwę wyciągnie z ziemi, to musi na skrzydłach za

traktorem nadażać, bo już jej przez ten czas umknie kawał drogi.

- Kra!... kra!... kra!... goń traktora!... Goń, trudna rada!... trzeba pędraki wyjadać!...

Więc i ja zabrałem się do tego żniwa, chociaż to nie bociani obyczaj. Ale lepsze to niż puste kiszki! Łykam pędraki jak kluski i larwy drutowca, i inne smakołyki, nogi wyciągam, jak tylko mogę, ale... kto by za takim nadażył?!... Podlatuję i ja na skrzydłach, znowu łykam, co się da... i pędzę dalej, a tu widzę, ciotka Wronisława całkiem już ustała, przycupnęła na świeżo odwalonej skibie i dziób zwiesiła bezsilnie.

Podchodzę, trącam ją dziobem, a ona do mnie słabiutkim głosikiem:

- Mój Kajtusi! drogi, czuję, że wyciągnę nogi!...

Więc ją trochę dziobem za kark potrząsnąłem i mówię:

- Trzymaj się, sąsiadka, bo to dla nas gratka!

A ona dalejże lamentować:

- Jak orali w Kasztana, to sobie wolniuśko za pługiem chodziłam do wieczora od rana... a jak ten „terkot” zacznie po polu krążyć, to nie mogę nadażyć!... Nogi mi odpadają... już jestem chora od tego traktora...

A ja jej na to:

- Ale za to robota się pali! Zobacz, ile dzisiaj zaorali! Zresztą trzeba mieć nogi skore, żeby zdażyć za traktorem!

I puściłem się na dalszy połów, dziobiąc na tych odwalonych przez lemiesze falach ziemi pędraki niczym żabki w wodzie...

Tymczasem nadeszło południe.

Traktor stanął, a ludzie, którzy na nim jeździli, zabrali się i odeszli.

Byłem bardzo zmęczony i syty, chociaż pędraki i larwy - to nie bocianie jedzenie; ale z braku żab i pędraczek to przysmaczek!...

Podszedłem do tego traktora, przyjrzałem mu się z bliska i aż zaklekotałem z uciechy:

- Kle... kle... kle... na tym traktorze gniazdo sobie założę! To siodełko - klęk! da dana! - jest pod gniazdo dla bociana! Tutaj, nie myśląc wiele, gniazdo sobie uścielę!

Frunąłem na to siodełko - w sam raz dla mnie! Łąka i rzeka niedaleko. Widzę całą okolicę jak na dłoni, tak właśnie, jak bociany lubią. Już mnie stąd nikt nie wygoni!

Zarzuciłem głowę na grzbiet tak, jak to robiły stare bociany, i dalejże ogłaszać klekotem, że zdobyłem nareszcie gniazdo, że tu będę gazdą!...

Stanąłem sobie na jednej nodze i przysnąłem, najedzony srodze...

A tu nagle hałas jakiś i śmiechy:

- Patrzenie!... patrzenie!... jakiego mamy traktorzystę.

Idzie dwóch wesołych, tęgich zuchów, a za nimi nasz Antek:

- No, co, Kajtek, przystajesz do traktorzystów?!

Zaklekotałem mocno:

- Kle... kle... kle!...

- Przystaje! Przystaje! Morowe bocianisko! - wołali traktorzyści.

Jeden z nich pcha się na moje miejsce, a więc ja go - kuj! dziobem po grzbiecie... a oni w śmiech!

- Nastąp się trochę, kolego! Razem będziemy na traktorze jeździć!

No, więc się trochę nastąpiłem, on usiadł na tym moim gnieździe, ja z boku i ruszyliśmy, odwalając trzy skiby od razu, jakby to było masło, a nie rola!

Trzęsło mnie okropnie, więc nie mogłem stać na jednej nodze, a nawet, prawdę mówiąc, i na dwóch podskakiwałem jak wróbel, ale nadrabiałem miną, że to niby z uciechy tak sobie podskakuję, żeby się pokazać przed Wronisławą i wszystkimi jej kumoszkami.

Niech zobaczą te wroniska, co to Kajtuś-traktorzysta!...

Tak oraliśmy do samego wieczora. Jak mnie już bardzo trzęsło, to zlatywałem na rolę, biegłem za traktorem i pędraki wyjadałem, bo choć to zajęcie dobre dla kur i gawronów, to co robić, gdy o żaby jeszcze trudno!...

Wieczorem wróciliśmy do wsi.

Traktor poszedł spać do takiej wielkiej szopy, co ją zaraz przy kuźni wystawili i napisali na niej wielkimi literami

OŚRODEK MASZYNOWY

a ja wróciłem na moją topolę w Orczykowej zagrodzie, siadłem sobie na grubym konarze i medytuję:

- Przepędziła mnie rodzina z gniazda - to trudno, ale przecież mam łąkę, mam topolę, mam zagrodę Orczyków, a za trzy lata, jak dorosnę, nikomu gniazda nie ustąpię, będę miał już wtedy dużo sił, obronię swoje gniazdo i własne gospodarstwo założę!...

Będą sobie Orczyki gospodarzyć na swoim podwórku, a ja na swoim gnieździe!... A tymczasem w zagrodzie będę żył ze starymi bocianami. Przecież nikomu na naszej łące miejsca nie zabraknie.

Będziemy sobie na spółkę nagonki na żaby i polowania na myszy polne urządzać. Zawsze lepiej w zagrodzie gromadą żyć niż samemu obijać się po świecie!